

665

Żywot Izabelli Cywińskiej, jak twierdzą zorientowani, nie był bynajmniej usłany różami. Ostatnie kilkanaście lat miała jednak spokojne i ustabilizowane. Dyrekcja teatrów w Kaliszu i Poznaniu, udane przedsięwzięcia artystyczne, nagrody w kraju i za granicą, uznanie społeczeństwa i władz (oczywiście kompetentnych w zakresie kultury)... Kilkakrotnie mówiło się o tym, że pani Iza spakowała już walizki, że przenosi się do Warszawy. Jak by nie było, wieści te dowodziły uznania, jakim cieszyła się nie tylko w grodzie nad Wartą. A jednak zostawała. Nie można kryć, że owo uporczywe trzymanie się poznańskiej gleby nie pozostawało bez wpływu na wzrost popularności wieloletniego dyrektora Teatru Nowego.

Czasy się zmieniły. Izabella Cywińska w gabinecie Tadeusza Mazowieckiego otrzymała tekę ministra kultury i sztuki. Była bodaj pierwszą na tym stanowisku osobą, która przed objęciem swojej funkcji związała się z kulturą zawodowo. Miała opinię osoby stanowczej, o sprecyzowanych poglądach na kształt życia kulturalnego, otwartej na zmiany, propozycje, sugestie. Mówiąc wprost, nie tylko twórcy wiązali z jej nominacją spore nadzieje.

Do dymisji podała się wraz z całym gabinetem. Czy była wciąż popularna? Wydaje się, że straciła sporo z otaczającego ją nimbu. Powiedzmy więcej, ustępująca pani minister znalazła się pod pręgierzem twórców, a i tzw. opinia publiczna postrzegała ją znacznie krytyczniej, niż jesienią roku 1989. Nawet bezstronni obserwatorzy i życiowi Izabelli Cywińskiej ludzie (znający ją prywatnie jako osobę pełną życiowej werwy i poczucia humoru) przyznać muszą, że jej kadencja raczej zaszkodziła, niż po-

mogła Ministerstwu Kultury i Sztuki.

Dlaczego się tak stało? Czyżby pani minister „nie sprawdziła się” na swoim eksponowanym, bądź co bądź stanowisku? Otóż nie. Podejrzywam, iż w latach 1989 — 1990 żaden z hipotetycznych ministrów nie zyskałby sobie ani społecznej, ani tym bardziej „środowiskowej” akceptacji. Powiedzmy wprost: w rządzie Mazowieckiego ministrowi kultury i sztuki przypadło w udziale niewdzięczne zadanie likwidato-

Pani minister udało się jako tako zagospodarować krajobraz teatralny, który, acz z licznymi szczyrbami, przetrwa. Dzięki pomocy i współpracy nieodżałowanego Juliusza Burskiego zdołała to i owo przewietrzyć w kinematografii i dystrybucji filmów. Nie za bardzo poszło jej, jak się zdaje, w środowiskach plastycznych i muzycznych. Bibliotekom i wydawnictwom niskonakładowym udzielała się z rzadka i niechętnie, co zrozumiałe, jako że instytucje te tradycyjnie

jej dostojną osobę. Teraz odzyskała prywatność, którą wszakże oszłamniać będzie okres działalności w gabinecie Tadeusza Mazowieckiego. Życie będzie jej się niełatwo, bowiem, jak sama oświadczyła jednemu z dziennikarzy, postara się „znaleźć jakieś zajęcie w kulturze”. Wątpię, aby mogło to być zajęcie lukratywne.

Nie będę się pastwił nad pierwszą w naszym powojennym bez mała półwieczu demokratyczną minister kultury i sztuki i z tego względu, iż z domu rodzinnego wyniosłem nawyk, by nie mówić źle o damach. Przeto postaram się zapomnieć nawet niezbyt wytworny postępki wobec Barbary Majewskiej, dyrektorki CBWA — Zachęta (zainteresowanych zapraszam do lektury artykułu Ewy Matuszewskiej — tygodnik „Solidarność”, nr 2). Moja amnezja dotyczyć także będzie faktu nieprzewietrzenia gmachu ministerialnego i przepędzenia zeń rzędy urzędników rozmaitego szczebla, którzy poprzęrali do swoich foteli niczym huby. Niechże jednak wolno mi będzie wyrazić swe zdziwienie, iż niegdysiejsza minister Izabella Cywińska publicznie, wszem i wobec rozgłasza, że ministerstwo, którym przez rok z górą zarządzała zostało „zredukowane o 30 procent”. Trzydzięci procent czego? Ludzi (tego nie widać), kompetencji (odmienne opinie na ten temat krążą po tzw. „terenach”) czy budżetu (tu zdaje się uszczerbek jest znacznie większy)? I niech mnie moje pchły zjedzą, jak mawiał Zagłoba, jeśli co z tego rozumiem. Ponieważ łatwiej kreować się na Żelazną Lady, Margaret Thatcher ustąpiła wszakże sama, zdając sobie sprawę z utraty popularności i politycznych niepowodzeń. I tu właśnie dostrzegam różnicę materiału, z którego zbudowane są wizerunki obu pań.

Tomasz DYMACZEWSKI

# POŻEGNANIE PAPIEROWEJ DAMY

ra resortu. Skoro bowiem kultura miała się stopniowo prywatyzować, co w myśl balcerowiczowskich pryncypiów miało oznaczać też: usamodzielniać, rola przyszłego ministra sprowadzać się mogła jedynie do cichego i pokornego wystawiania w kolejce przed gabinetem wicepremiera, odpowiedzialnego za budżet i finanse. Z gałganików i resztek materii wyrzuconych z urzędowego legowiska Balcerowicza, bądź jego potencjalnego następcy wypadało sporządzić ciepłą kołderkę i otulić nią to, co uznawało się za najcenniejsze, godne zachowania. Izabellę Cywińską spotkała ta przykrość, że musiała system ów, który prawdopodobnie wcale zgrabnie funkcjonować będzie w przyszłości, opatentować. Oczywiście, starała się robić wszystko, aby kołderka okrywała jak najwięcej sierrotek. Nie dla wszystkich jednak starczyło.

bytują na obrzeżu budżetowych potrzeb ministerstwa.

Atmosfera, powiedzmy to otwarcie, nie sprzyjała reformatorskim poczynaniom. Niemal od razu dziennikarskie ogary rzuciły się w gąszcz kulturalnych problemów, wyławiając dla siebie i czytelników co smaczniejsze kąski. Szczególnie zajadle atakowano projekt rzużenia kultury tzw. prowincjonalnej w objęcia organów samorządowych. — Jeśli z góry nikt nie sypnie grosiem, jakże liczy na podanie go z dołu? — twierdzono. Okazało się atoli, że tam, gdzie gleba kulturalna była wyjałowiona i tak nic się nie dało zrobić. Tam zaś, gdzie znaleźli się chętni do społecznej nieodpła tnej pracy, zwanej za komuny społeczną, i tak się coś dzieje, nawet bez najjaśniejszej protekcji MKiS.

Bronię więc Izabelli Cywińskiej, choć w okresie, gdy sprawowała urząd ministra i ja kąsałem nieraz